

JADWIGA MIGOWA.

Odmłodzenie dra Wyrobkówny

(POWIEŚĆ FANTASTYCZNA).

3)

— Niema się o co obrażać... To kwestya tak drażliwa... Zdarzają się nieraz zabawne komplikacje... Pamiętam, w Teheranie, na dworze perskiego szacha...

— Czy zabieg będzie dokonany od razu dzisiaj? — przerwała mu, nie ciekawa jego wspomnień z Teheranu — bo nie chciałam zbyt długo czekać... Nie mam czasu...

— Może być i dzisiaj... choć mamy wcześniejsze zamówienia... Ale jeśli pani koniecznie zależy na pośpiechu... Ale to będzie kosztowało więcej...

— Wszystko jedno... ile?... — Ale honorarium z góry, zaraz, teraz... — oczy doktora zaświeciły silnym blaskiem.

— Dobrze — rzekła, sięgając po torebkę ręczną — ile?... —

Dr. Riki-Tiku wymienił sumę bardzo wysoką. W chwili, gdy wymawiał cyfrę honorarium, złotawe jego oczy trochę niespokojnie badały twarz klientki.

Lecz na twarzy tej nie odmalował się ani rzesz, ani nawet wzruszenie.

Teżniąc za młodością profesorka przygotowana była na to, że za powrót wiosny drogo zapłacić przyjdzie... Właściwie nie wydawało się jej to zbyt drogo — wszak to cena miłości i szczęścia... Bez słowa protestu wyjęła z torebki niewielki portfel, wyładowany grubo banknotami i w milczeniu wypłaciła co do grosza żadaną kwotę.

Dr. Riki-Tiku zgarnął szybko, bardzo szybko pieniądze i ubrał oblicze swoje w wyraz przyśmiałej uprzejmości...

— Łaskawa pani będzie z pewnością zadowolona... Co mówię — zadowolona? zachwycona!... oczarowana!... uszczęśliwiona!... W czasie mego pobytu w Konstantynopolu odmłodziłem babkę sultana, która w kilka tygodni później uciekła z pewnym młodym bejem!... Powiadam pani, ta historia nie robiła olbrzymiego hałasu... Serce Pelagii ugryzł mimowoli robak wątpliwości...

— A może to jaki błagier? szarlatan? — przemknęło jej przez myśl.

Ale zaraz przypomniała sobie pannę Walentynę... No to już żywy, autentyczny dowód... — A więc — chodźmy w młodość!...

Dało się słyszeć trzykrotne uderzenie gongu.

— Co to takiego? — To hasło, że posiłek podany... Dla tych pensjonariuszów naszych, którzy jeszcze czekają na operację... Szanowna pani pozwoli również... ogromnie higieniczny posiłek, zastosowany do okoliczności... Zużycie kminkowa i szpinak.

Dr. Wyrobkówna nie znośła zupy kminkowej, a brzydziła się formalnie szpinakiem; nie czuła zresztą głodu, ciekawość ją wszakże brała, aby przyrzuć się bliżej współtowarzyszom dołi... Chodziło jej jednak o zachowanie incognito...

— Mówiłam już panu doktorowi, że nie chciałabym, aby wiadano kto jestem...

— Na wszystko jest rada... u nas ścisła dyskretya... O! proszę... — i podał zieloną maskę...

— W masce... Ależ...

— Tam wszyscy są w maskach...

— A, jeśli tak, to co innego...

I założyła maskę, która przysłoniła jej twarz aż do brody... Maskę sporządzoną była z miękkiej materii, tak, iż uchylenie jej przy jedzeniu nie sprawiało wielkich trudności.

Dr. Riki-Tiku wprowadził nową nacyentkę do niewielkiej salki, obitej zieloną tapetą, gdzie kilka osób w trawistych płaszczach siedziało przy stole i jadło szpinak... Wszystkie twarze przysłonięte były maskami... Ale oczy migają, ożywione podnieceniem, nadzieją i ciekawością.

Dr. Wyrobkówna oddała lekki ukłon i zajęła wskazane jej miejsce przy stole. Wszystkie zamaskowane twarze zwróciły się ku niej, jakby usiłując przewiercić wzrokiem zieloną materię, zakrywającą rysy nowoprzybyłej...

— Cóż u diabła? nikt nie chce być starym? — wysepienił szkieletowo chudy człowiek, którego dykcja zdradzała kompletny brak zębów...

— Naprzykład co panu po młodości? — odmruknął grubas, oddychający bardzo asmatycznie.

— W każdym razie prędzej mu się przyda, jak panu — stanęła w obronie chudego starszaka, jedna z niewiast, z biustem niezwykle obwisłym — pan choćbyś się sto razy odmłodził, to i tak będziesz miał rogi... Zawsze ten kuzynek młodszy!... Zachciało się po sześćdziesiątce żenić z dwudziestoletnią dziewczyną!...

— Moja pani! to beczelność!... Przede wszystkim pani nie wiesz, kto jestem!...

— Musiałbyś sobie radca obciosać kawałek brzucha i sapać trochę ciszej!...

— Stara krowienta!...

— Co?... —

— No, niby co?... Myślisz pani, że cię nie poznałem!... Takiej figurki nie ma żadna inna stara aktorka!... A te malowane na rudo kłaki!... Chciałoby się jeszcze tydki pokazywać, tylko żyłki przeszkadzają!...

— Rogacz!... stare próchno!...

— Wybrakowana szkap z teatralnej stajni!...

— Fi donć!... co za wyrażenie!... co za sposób wyrażania — wmięszala się druga z obecnych kobiet, której na gors opadał potrójny, porzeczaniny sieciami zmarszczek podbródek — dla kobiety z towarzysstwa to prawdziwa męka przepędzić tutaj choćby kilka godzin...

Stara aktorka z obwisłym biustem, zapominając o asmatycznym mężu młodej żony, obróciła się szybko ku „kobiecie z towarzysstwa”.

— Patrzcie ją, damo! A dla kogóż to łaskawa pani tak pragnie się odmłodzić?... Chyba nie dla tego robaczywego grzyba, męża, który ledwie nogami powłóczył!... Ale o tego kochanka chodzi, co miał już dosyć twoich wdzięków... Wiemy coś o tem, jak to pewna „dama z towarzysstwa” pukala przez cały tydzień codziennie do drzwi garsoniery, nie otwarło!... Ha!... ha!... ha!... sąsiedzi mieli uciechę!...

— Milczeć lafiryndo!... ja z takiemi nie rozmawiam!...

— Bezzębna lwica!... ośmdziesiąt pięć kilo żywej wagi!...

— Proszę o spokój!... — zawołał Riki-Tiku, ukazując się we drzwiach — wszelkie silniejsze zdenerwowanie może zaszkodzić wynikowi operacji...

Nagle zapanowała cisza grobowa.

Wyrobkówna czuła, że się czerwieni pod maską.

— No! ładnie się oni tutaj nie znają... — pomyślała i ogarnęła ją chęć jak najszybszego wydostania się z tego pokoju. To też po chwili, nie odczekawszy się do nikogo słowa, podniosła się z krzesła i wyszła. U progu doleciały ją słowa aktorki:

— A to co za stare pannisko?... —

Drgnęła, jakby ją kto podciął biczem, ale zaraz zreflektowała się. No i cóż wielkiego, że jest starą panną? Wszakże sama wie o tem dobrze i przybyła tutaj po to, aby przestać nią być... Tylko prędzej niechajże się to stanie!... prędzej!... prędzej!... O! Feliksie!... Feliksie!...

ROZDZIAŁ III.

Z pokoju oznaczonego Nr. 923 dochodził donośny płacz małego dziecka... Dziwny jakiś płacz, nabrzmiały wyrazem tak wielkiej złości, że stanowczo zbyt wielkiej w stosunku do małego gardziolka i drobniutkiej piersi niemowlęcia...

— Dr. Riki-Tiku, odbywający właśnie inspekcję swego zakładu, posłyszał ten płacz. Zdziwiony bez pukania nacisnął na klamkę i otworzył drzwi.

Po chwili zaczął z wnętrza pokoju wołać rozpaczliwie:

— Walentyno!... Walentyno!...

Dorodna Walentyna wyrosła jakby z pod ziemi.

— Co ty znowu za wrzaski urządzasz? Pobudzisz tych wszystkich starych idiotów?!

— Chodź tu!... chodź prędzej!...

— Co się stało?!

— Coś okropnego!...

„Prawa ręka” nowożytnego Mefista wbiegła do pokoju, gdzie oczy jej uderzył niespodziewany widok. Na zielono lakierowanym łóżku leżało kilkotygodniowe niemowlę, wplątane w długą nocną koszulę dorosłej osoby i darło się w niebogłose. Dziecko wierzgało nóżkami jak oszalone, biło rączkami o materac, a oczy jego bystre, inteligentne oczy dojrzałego człowieka błyszczały wściekłym gniewem... Kontrast

tej malutkiej postaci, łysej, niekształtnej czaszki, bezzębnych dziąseł i tych mądrych, pełnych wyrazu oczu — był tak rażący, a tak zarazem komiczny, że Walentyna w pierwszej chwili roześmiała się. Ale uśmiech zniknął naraz z jej twarzy.

— Co to jest?

— Widzisz, dziecko!...

— Skąd to dziecko!...

— To moja odmłodzona pacyentka!... Uważasz, fatalna pomyłka!...

— Zwaryowałeś, czy kpisz ze mnie?!... Pytam, co to za dziecko?!

— Powtarzam, że to ta stara panna, co chciała mieć lat ośmnaście!... Eksperyment się udał!... pierwszy raz się udał!... tylko ta po nyka!...

Dziecko wrzasnęło jeszcze silniej i jęło się rzucać po pościeli całem swem ciałkiem — niby w drgawkach konwulsyjnych.

Walentyna przez kilkadziesiąt sekund osłupiała ze zdziwienia, patrzyła na niemowlę.

— No, wiecie — coś takiego!...

I jak tygrysica przyskoczyła do swego szefa.

— Ty ośle stary!... ty niedołęgo!... byłeś znowu pijany jak bela!...

— Przysięgam ci, Walusiu, że nie... Byłem trochę tylko... właściwie nie... całkiem trzeźwy... najtrzeźwieszy, jakbym całe życie nie pił nic prócz wody odmładzającej!...

— Nie zwracaj głowy, bo...

— Tylko widzisz, ten babsztyl, to fenomen!... ona mi powiedziała prawdę, ile ma lat!... To mi się pierwszy raz w mojej praktyce zdarzyło!... A wyglądała, jakby miała o ośmnaście lat więcej, no i stąd cała katastrofa!...

I znowu rozpaczliwy krzyk dziecka!...

— Jak ona się patrzy!... Uważasz, ona zachowała rozum dorosłego człowieka i wścieka się teraz!...

— A niech się wścieka, tylko co my z nią teraz zrobimy?... Pieniądze wzięła z góry?

— Naturalnie. Zapłaciła dobrze.

Płacz dziecka zdawało się, że mury przebije.

— Ależ ten stary bachor pobudzi wszystkich!...

Trzeba ją uspokoić!...

— Może ją pokarmić? — zaproponował dr. Riki-Tiku.

— Aha! pokarmić!... nie wiem, skąd wezmę mamkę na poczekaniu!... Może ją jeszcze w pieluchy zawinąć!... Także interes!... Czekaj!... ja ją tu zaraz uspokoję, jeżeli, jak powiadasz, ona rozumie, co się wkoło niej mówi.

I zwróciła się do niemowlęcia z groźną miną:

— Słuchajno, jeżeli w tej chwili nie przestaniesz się drzeć, zaknebluję ci gębę tak, że ani piśniesz!... Rozumiesz?!

W nieproporcjonalnie dużych do małej twarzy oczach odmalował się przestach. Dziecko zamilkło.

— Widzisz, rozumie... Jest tak, jak mówiłem...

— Co mi tam twoje glupstwa!... Mam już wogóle dość tego odmładzania!... Ale co my z tym fantem teraz zrobimy?... Jeszcze się policya gotowa w to wdać i będzie pasztet!...

— Trzeba ukryć!...

— Ale gdzie? jak?!

— Może powiedzieć, że to moje?!

— Idyotyzm!... No, mam już pomysł!... Trzeba ją teraz zanieść ostrożnie, tak, żeby nikt nie widział, do mego pokoju, a wieczorem zobaczmy!...

Dziecko przenikliwym wzrokiem wierciło jej twarz... Szorstko pochwyciła je w swoje silne ręce i owinęła nocną koszulą dra Wyrobkówny... Niemowlę pociśnięte zbyt silnie — krzyknęło z bólu...

— A będziesz ty cicho przekłety bachorze!... — i Walentyna uszczypnęła gniewnie dziecko, tak, że na delikatnym ciałku wystąpił duży siniak.

Płacz zcichł. Widocznie mądre „dziecko” pojęło, że z tą opiekunką nie poradzi sobie...

— He!... ubieraj się... idziemy do „Żłóbka” — rzekła pani Barbara Zórecka do swej siostrzenicy, która niedbale rozparła w fotelu, czytała francuską powieść p. t. „La garçonne”...

Dziewczyna niechętnie oderwała wielkie ciemnofioletowe oczy od kart książki.

— Do jakiego znów żłóbka?!

— Jakiś nie wiesz, że mnie wczoraj miano wano pañronesa wszystkich opuszczonych dzieci, sierot po...

(Ciąg dalszy nastąpi.)